

Marionetki?

Pieniądze, zielone, forsa, szmal - określeń mamy wiele. Każde pokolenie wrzuca kolejne do ogromnego worka rzeczowników. Nieważne jednak, jak będziemy TO nazywać.

Money, money, money – wyznacza życia rytm, wyznacza życia rytm... I to nie jest bynajmniej „Kabaret”, ale najprawdziwsze życie.

W spektaklu, który usiłowałam obejrzeć z ostatniego rzędu rozległej widowni, pokazane były głównie **dwie puenty**, uporczywie i ekspresyjnie wbijane widzowi do głowy, a w szczególności do uszu. **Pierwsza puenta** wirowała, jak bąk puszczonego przez pięcioletnie dziecko, wokoło pieniędzy. *Wzbogacimy się! Potrzebujemy więcej pieniędzy! Chcemy podwyżki!* Okrzyki, prośby, nadzieje. Wszystkie związane z forszą. Wszystkie kierowane uporczywie, wciąż i wciąż i wciąż od nowa - do widza. Gdy patrzyło się na choreografię, której autorami byli **Beata Owczarek** oraz **Janusz Skubaczowski**, miało się wrażenie, że niemal każdy ruch tancerzy jest ruchem marionetek bezwzględnie dyktowanym przez siłę wyższą, którą w łódzkiej rzeczywistości przełomu wieków, ale pewnie nie tylko wtedy i tam, wróć! **na pewno** nie tylko wtedy i tam, były pieniądze. Fachowo zsynchronizowane ruchy oraz ich dynamika i stopień „składania się” części ciała niczym na marionetkowych zawiasach pozwolił stworzyć iluzję, że na scenie tak naprawdę nie ma ludzi. Imaginacja była możliwa przede wszystkim dzięki dźwiękom muzyki, które fantastycznie wygrywane przez „żywą” orkiestrę pod przewodnictwem Piotra Dziubka, były w stanie naprowadzać serca widzów na coraz to nowe ścieżki emocji, pożądania i ciekawości chwili, która dopiero miała nastąpić. Pierwszy morał dało się wyczuć, wylapać z zachowania niemal każdej postaci, która wbiegała, wchodziła stanowczym krokiem lub wskakiwała w pudełku na scenę. U wszystkich były nieomal widoczne trybiki mózgu, które działały na zasadzie dzisiejszych teleturniejów. Im szybciej, im więcej - tym lepiej. Według mnie **Karol Borowiecki (Rafał Szumera)** dążył jedynie do osiągnięcia tak zwanych *progów gwarantowanych*. Fabryka – wykonane. Maszyny – wykonane. **Anka (Karolina Kazoń)** – wykonane. **Lucy Zucker** – wykonane. Poczulałam się zszokowana, gdy dotarło do mnie, że przecież większość ludzi w swoim życiu tak właśnie postępuje. Pewna bariera pojawiła się, gdy rozpoczęłam studiowanie roli kobiecych. Kiedy wzięłam pod szkiełko mikroskopu postać **Mady Müller**, w której buty wskoczyła **Barbara Garstka**, moja wizja teleturnieju, który nieustannie toczy się w naszym życiu, uległa dezintegracji. Ta jej wesoła płatanina czyli pomieszanie dzikich płaśów w sukience, maślanych oczek oraz różnokolorowych kwiatków uparcie przypinanych przez nią do garnituru Karola, wydała mi się przez krótką, acz chwytającą za serce sekundę nieskazitelną i wynikającą z czystych pobudek, miłością. Czyż nie jest ona najbardziej bezinteresownym oraz wzniosłym uczuciem, które wydaje się nie mieć nic wspólnego z tą pospolitą formą igraszki, jaką ofiaruje nam życie? Na pierwszy rzut oka tak i wtedy wszystkie te wzdychania, różowe kwiatuszki czy „wieszanie się” na Karolu stają się tylko objawem tego życiowego narkotyku. Aczkolwiek, gdy na naszym mikroskopie, pod którym teraz analizujemy postać Mady, trochę zwiększymy ostrość, dostrzeżemy coś, co już idealnie wpasuje się do naszej uroczej gierki. Każde słowo wypowiedziane przez tę dziewczynę staje się taką maleńką cegiełką, podstawą do osiągnięcia celu, czyli zdobycia Karola. Tak więc przyglądając się uważnie postaci granej przez Barbarę Garstkę, doświadczamy iluminacji: wykorzystanie pensjonarskiego zadurzenia to zimna kalkulacja, która ma pomóc w

zdobyciu złotego medalu w wyścigu szczurów. Czyżby więc każdy z nas usiłował osiągnąć tylko – w jakimś amoku - coraz to nowe *progi gwarantowane*, nie zwracając na nic innego uwagi? I tu uświadomiłam sobie drugą cechę sztuki charakterystyczną dla współczesnego społeczeństwa. Uczucie satysfakcji z powodu chociaż częściowego zrozumienia oglądanego spektaklu bez wcześniejszego zaznajomienia się z treścią dzieła (taki, powiedzmy, oświecony dyletantyzm) przyjemnie ukołoło rozgoryczenie spowodowane niepełną percepcją *figur*, które w dzikim szale były wykonywane przez **Karola** oraz **Lucy**. Z pewnością był to ten element sztuki, który zapadł w pamięć, szczególnie męskiej części widowni.

Oderwijmy się jednak od obrazu wyjątkowo wygimnastykowanej Lucy i powróćmy do tematu **dwóch puent**. Ta **druga** dotyczy ludzi, którzy tłumnie przybywali do Łodzi, aby się wzbogacić, zyskać pieniądze dla siebie i rodziny, szukać nowego, lepszego, według nich, życia. Każdy człowiek podążał w stronę miasta ze złudną nadzieją wygranej, a jedyne, z czym przyszło mu się zetknąć, to wyzysk. Druga myśl sztuki opiera się także na stosunku właścicieli zakładów do tych „szarych mrówek”. Pajacyki na sznurkach, czyniące z poddanych sobie marionetki. Bez żadnych oporów moralnych niecnie i przebiegle je wykorzystując dla zaspokojenia katalogu wszelkich możliwych żądź. Ta niesprawiedliwość łódzkiego świata uderzyła mnie najbardziej dotkliwie w scenie, kiedy to **Karol Borowiecki** przyszedł z wizytą do **Zuckera (Feliks Szajnert)**. Obaj aktorzy, dzięki kunsztowi, z jakim wykreowali swoje postacie, utkali przed widzami coś w rodzaju sieci, na którą składało się zachowanie zarówno starego mężczyzny, jak i Karola. Wydawać by się mogło, że obok siebie siedzą dwie wersje tego samego typu osobowości. Uzupełniali się, tworzyli symbiotyczną całość, niesamowitą kompozycję, którą z zapartym tchem można było podziwiać, która we wspólnym rytmie poruszała się po scenie i wnikała do oczu i duszy widza.

Przenośny kominek, który nagle wyłonił się dosłownie spod ziemi, sprawiał, że cienie bezwiednie ślizgały się po twarzach aktorów. Wprowadzały potrzebne napięcie, atmosferę przepęlnioną spiskiem i cichą nienawiścią do wszystkich innych ludzi, którzy chcieliby zacząć się na pieniądze starego Zuckera. Sam **Feliks Szajnert** odegrał swą rolę po mistrzowsku. W jego głosie, szczególnie w natężeniu, z jakim zwracał się do swoich scenicznych partnerów i widzów, oraz w gwałtownych ruchach, które były jakby „na siłę” ograniczane przez wózek inwalidzki, dało się dostrzec ten lekceważący stosunek do klasy niższej. Nie liczył się fakt, że oni też są ludźmi, nie liczył się fakt, że muszą dbać o swoje rodziny, nie liczyło się praktycznie nic. I tutaj jako ostatecznie olśnienie dotarło do mnie, że to już **trzecia cecha** sztuki, którą można dostrzec także we współczesnym świecie.

Ambitny spektakl ma do spełnienia niełatwe zadanie: zaimponować swoim wykonaniem i równocześnie nakłonić widza do refleksji. Czy na mojej twarzy było widoczne zafascynowanie? Tak, wraz z szeroko otwartymi oczami i lekko przytępionym słuchem. Czy nakłoniło mnie do refleksji? Początkowo nie, bo nad czym tu się zastanawiać, skoro motto spektaklu przewijało się przez usta aktorów niemal ciągle i wciąż. Zaczęłam się więc zastanawiać, co było celem reżysera **Wojciecha Kościelniaka**? Uwidocznienie i ekspresyjne „wkładanie” widzom do głowy, że tak samo jak kiedyś w mieście - potworze dzieje się w dzisiejszym świecie? Być może, bo przecież historia się powtarza, może nie w tak czysty i dosłowny sposób, ale te mechanizmy, ci dorobkiewiczze, te celebrytko – Grycanki... Znacie to skądś? No to wybierzcie się na spektakl, żeby przekonać się, że wszystko już było, może tylko w innych „dekoracjach”, co jednak nie znaczy, że *homo sapiens* (istota myśląca) powinna taki kształt świat bezkrytycznie akceptować...

Szukajmy Ziemi Obiecanej, bo to od zawsze leżało i leży w naturze człowieka, jednak nie pozwólmy, aby nas w niej pochowano... za życia.

*Gabriela Kurpiel, uczennica I LO im. Marcina Wadowity w Wadowicach
Opiekun: mgr Henryk Odrozek*